Ks. Andrzej Szostek MIC

1. Prawość sumienia kapłana.

0. Wstęp

"Każdy arcykapłan z ludzi brany" (Hbr 5,1). To hasło sympozjum stawia nam przed oczy nade wszystko kapłana jako człowieka, który - jak czytamy w następnym zdaniu piątego rozdziału Listu do Hebrajczyków - "może [...] współczuć z tymi, którzy nie wiedzą i błądzą, ponieważ sam podlega słabościom" (Hbr 5,2). Taki właśnie arcykapłan "dla ludzi bywa ustanawiany w sprawach odnoszących się do Boga, aby składał dary i ofiary za grzechy" (Hbr 5,1). Cały ten passus podkreśla więź arcykapłana z ludem; więź, której ważnym elementem jest to, iż podlega - jak inni - słabościom i błędom, a która rzutuje istotnie na sposób rozumienia i sprawowania specyficznie kapłańskich zadań. Jak powiada św. Augustyn, "Vobis sum episcopus, vobiscum sum christianus"[1]. Formułę tę przypomniał Jan Paweł II w swej niezwykłej książce "Przekroczyć próg nadziei"; przypomniał i zaopatrzył w znamienny komentarz: "Zastanawiając się dobrze, o ileż więcej znaczy to 'christianus' niż 'episcopus' - nawet gdyby chodziło o biskupa Rzymu"[2]. W kontekście cytowanego fragmentu Listu do Hebrajczyków, można ten komentarz sparafrazować słowami: "o ileż więcej znaczy to, że arcykapłan z ludzi jest brany, niż to, że dla ludzi bywa ustanawiany".

Podejmując więc rozważania, których tematem jest prawość sumienia kapłana, a także różnorakie jej zagrożenia, czynić to będziemy ze świadomością, że jest to w istocie odmiana prawości lub nieprawości sumienia każdego człowieka, w szczególności: każdego przeciętnego współczesnego Polaka. Jak bowiem rozumiem, mamy się wspólnie zastanowić nad moralną postawą dzisiejszego polskiego duchowieństwa, zwłaszcza młodych księży, którym wielu obecnych tu Ojców w różnej formie usługuje. Zamiar to ambitny i pod pewnym względem zdecydowanie "na wyrost"; żadnych bowiem systematycznych badań w tej materii nie przeprowadzałem, doświadczenie z konfesjonału

---

[1] Św. Augustyn, *Sermo* 340, 1.

[2] Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*, RW KUL, Lublin 1994, s. 32.

zaś mam z pewnością mniejsze, niż Czcigodni Słuchacze. Spróbuję tylko - - tytułem wprowadzenia do wspólnego namysłu - wskazać na niektóre zagrożenia dla prawości kapłana, jakie moim zdaniem wiążą się z aktualną sytuacją i samoświadomością moralną polskiego społeczeństwa.

Zacznę od przypomnienia, czym w istocie jest sumienie; bowiem tylko w ten sposób mogę ukazać, w czym upatruję sedno jego prawości oraz najgłębsze niebezpieczeństwo znieprawienia (p.l). Jak zobaczymy, kluczowe znaczenie dla tego zagadnienia ma odniesienie człowieka do prawdy. Właśnie stosunek do niej we współczesnym polskim społeczeństwie może napawać troską, - co będę usiłował pokazać w p.2, by w p.3 (ostatnim) skupić uwagę na tym, jak dalece przemiany lat ostatnich, a także moralna kondycja całego społeczeństwa, rzutują na - pod wieloma względami jednak szczególną - pozycję i postawę naszych kapłanów.

Wiem, że zadany mi temat nie zobowiązuje do tego, by mówić jedynie o zagrożeniach i niebezpieczeństwach; będę się starał tej "negatywnej jednostronności" unikać. Tak już jednak jest, że łatwiej mówić o tym, co nas niepokoi, niż o tym, co raduje. Co dobre, uważamy, (może nazbyt łatwo) za normalne i nie warte wzmianki.

1. Stosunek do prawdy: fundament prawości lub nieprawości człowieka.

Dlaczego tak ważny jest problem prawdy? Ponieważ relacja do niej konstytuuje samą istotę sumienia, a poprzez sumienie istotę człowieka jako bytu rozumnego.

Akt sumienia, tak zwany sąd praktyczno-praktyczny, przybiera formę oceny już dokonanego czynu lub nakazu jego spełnienia w przyszłości; oceny lub nakazu, które wyrażają prawdę - nie tylko o tym czynie, ale także (i bardziej jeszcze) o jego sprawcy: o tym, kim się on staje wskutek spełnienia lub zaniechania tego, co sam rozpoznał jako moralnie słuszne. Podkreślam ten poznawczy rys aktów sumienia, ponieważ często bądź to redukuje się je do odruchów emocji, stanowiących efekt swoistej tresury wywieranej na jednostkę przez społeczeństwo (stąd tendencje do utożsamiania sumienia z freudowskim "superego"), bądź też traktuje wyłącznie w kategoriach nadprzyrodzonej Boskiej interwencji, zrozumiałej jedynie w świetle religijnej wiary. Sumienie jest oczywiście, jak powiada ostatni Sobór, "najtajniejszym ośrodkiem i sanktuarium człowieka, gdzie przebywa on sam z Bogiem, którego głos w jego wnętrzu rozbrzmiewa"[3]. Głos ów jednak rozbrzmiewa we wnętrzu każdego

[3] KDK 16.

człowieka, ponieważ w sercu każdego Bóg wypisał swoje Prawo, wierność zaś sumieniu - a koniec końców Bogu - polega właśnie na jak najuczciwszym odczytaniu tego prawa. Dlatego, jak dalej czytamy w tym dokumencie, "przez wierność sumieniu chrześcijanie łączą się z resztą ludzi w poszukiwaniu prawdy i rozwiązywaniu w prawdzie problemów moralnych"[4].

Postulat szukania prawdy i kierowania się nią w życiu, nie jest tylko jednym z szeregu ważnych moralnych zaleceń, obok np. nakazu postępowania sprawiedliwego, respektowania przykazań Dekalogu. "Blask prawdy" ma we wszelkim ludzkim działaniu, a więc i w dziedzinie moralnej, znaczenie szczególne. Jako istota racjonalna, człowiek może dążyć jedynie do tego, co poznał jako dobro ("nihil volitum, nisi praecognitum"). Co więcej: sam akt poznania rzeczywistości jest w gruncie rzeczy jednocześnie - i koniecznie - aktem jej uznania jako faktycznego, (prawdziwego) stanu rzeczy. Gdy ów akt poznania nie pociąga za sobą przykrych konsekwencji, wówczas nawet nie dostrzegamy "moralnego ładunku" obecnego w każdym, nawet najbardziej błahym stwierdzeniu, że to a to jest prawdą. Pokusa rozminięcia się z prawdą (mówiąc po prostu: pokusa kłamstwa) zjawia się dopiero wtedy, gdy wierność jej staje się zbyt kosztowna. A warto pamiętać, że nie ma prawd bezpiecznych; zależnie od okoliczności każda może się okazać niebezpieczna. Zwłaszcza fluktuacje polityczne, zmiany rządów i ustrojów, stwarzają sytuacje, w których już nie tylko poglądy i ideologie, ale także przynależność do określonej rasy lub klasy społecznej, a nawet zażyłość z jej przedstawicielami, dotąd "niewinna", staje się nagle kłopotliwa lub wręcz groźna w skutkach. Któż z nas nie zna - niekiedy z bardzo niedalekiej przeszłości - przykładów takich koniunkturalnych retuszy czyichś poglądów i znajomości? Rzecz przy tym znamienna: jeśli traktujemy te próby jako żenujące i zawstydzające, to nie dlatego głównie, że pociągają one za sobą czyjąś krzywdę. Bodaj silniejsze jest przeświadczenie, iż ten kto zdradza prawdę w imię jakichś korzyści, dokonuje aktu szczególnego poniżenia własnego człowieczeństwa. Wprowadza bowiem do swego wnętrza głębokie rozdarcie, moralną schizofrenię; aktem swej wolności, słowem lub czynem, przeczy temu, co sam rozpoznał jako zobowiązującą go do określonego działania prawdę. Czy nie tu leży źródło bolesnych doświadczeń niektórych więźniów sumienia, którzy w okresie stanu wojennego zgodzili się podpisać "lojalkę", by wyjść na wolność a potem rady sobie z sobą dać nie mogli i szukali pomocy w poradniach psychiatrycznych? Czy nie na tym przede wszystkim polega problem sumie-

[4] tamże

nia i jego prawości ?[5]

W małej, ale pięknej książeczce, zatytułowanej "Droga człowiecza"[6], opowiada Martin Buber, jak to pewien rabin, Sznur Zalman, żyjący na przełomie XVIII i XIX wieku w północnej Białorusi, znalazł się w areszcie, gdzie pilnujący go żandarm skracał sobie czas rozmową z nim na tematy biblijne. Między innymi zagadnął rabina, jak rozumieć to, że Bóg - wszechwiedzący przecież - pytał w raju Adama "gdzie jesteś?" Odpowiedź brzmiała: Bóg nie dlatego pytał, że nie wiedział. On chciał, by Adam sobie na to pytanie odpowiedział. To Adam uczynił coś, co sprawiło, że ukrył się i bał się spojrzeć na siebie w całej swej nowej i niewesołej sytuacji. Choć nie pada słowo "sumienie", to przecież cała ta scena dialogu Boga z Adamem zdaje się ukazywać jego naturę. Ujawnia się nam ono jako głos, który chrześcijanie, żydzi a zapewne także przedstawiciele wielu innych religii, nie bez racji skłonni są interpretować jako pochodzący od Boga, ale który znany jest także ateistom, ponieważ - niezależnie od jego teologicznych interpretacji - jest to także i poniekąd najpierw głos samego człowieka. To on sam siebie pyta: "Gdzie jesteś? Coś zrobił? Jak się ma to, co uczyniłeś, do tego, kim jesteś? Co się stało w tobie i z tobą wskutek tego, coś uczynił?"

Oto więc sumienie jako świadek prawdy, a zarazem godności ludzkiej osoby, która kierując się tylko prawdą zachowuje, właściwy sobie, rozumny sposób bycia. A skoro tak, to znieprawienie człowieka, (jego sumienia) dokonuje się nade wszystko i najgłębiej poprzez zakłamanie. Pierwszym jego etapem jest grzech. Trzeba go oczywiście odróżnić od błędu, od którego żaden człowiek nie jest wszak wolny. Póki jednak działa w dobrej wierze, a więc w przekonaniu, że kieruje się prawdą, póty postępuje zgodnie ze swą rozumną naturą. Dlatego, gdy "sumienie błądzi na skutek niepokonalnej niewiedzy [...] nie traci przez to swojej godności"[7]. Ale grzech to czyn o którym człowiek sam wie, że go dokonać nie powinien. Jego popełnienie oznacza świadome wprowadzenie wspomnianego pęknięcia, rozdarcia, pomiędzy tym co człowiek poznał, a tym, co wybrał. W takim stanie ciężko żyć. Albo więc człowiek nawraca się, czyli wraca do prawdy o swym czynie i o sobie samym jako zasady swego postępowania - albo przywiązuje się do grzechu (jak się to kiedyś mówiło), a jednocześnie, co najgroźniejsze, usiłuje zniwelować przy-

---

[5] Pisał o tym T. Styczeń, w książeczce *Wolność w prawdzie*, Rzym 1988. Por. też: A. Szostek, *Wolność - prawda - sumienie*, Ethos 4 (1991), nr 3/4 (15/16), s. 25-37.

[6] M. Buber, *The Way of Man*, New Jersey 1966.

[7] KDK, 7.

kre poczucie wewnętrznego dysonansu pomniejszając miarę popełnionego zła, aż do likwidacji wszelkich wyrzutów sumienia. Służą temu rozliczne mechanizmy psychiczne, na czele z tak zwaną racjonalizacją, czyli dorabianiem ex post racji mających usprawiedliwić nieprawość. Niemałe znaczenie ma też "wybiórcza percepcja", która pozwala człowiekowi przyjmować do wiadomości i zachować w pamięci to tylko, co dlań korzystne, co nie wymaga zbyt radykalnych i bolesnych zmian w życiu. Pisał przed laty Kazimierz Brandys: "Przeciętna świadomość przeciętnego człowieka, który nie potrafi dowiadywać się o faktach, który nie chce poznawać rzeczywistości i zadowala się przeciętnymi, obiegowymi prawdami, i żyje w tej swojej małej wiedzy - - jak w norze - tu źródło naszych najohydniejszych klęsk. Nieszczęśni, którzy nie umieją wiedzieć, i potępieni, którzy nie chcą. Odkryję każdą zbrodnię dokonaną przez świat bez mojej wiedzy, pod warunkiem, że przyznam się przed sobą do chęci niewiedzenia o tym"[8].

Taka jest ranga prawdy i wierności prawdzie: otwartości na jej poznanie i gotowości świadczenia o niej swym życiem. Może w świetle tego, co tu powiedziano, mniej będziemy się dziwić św. Tomaszowi, który nie znajduje usprawiedliwienia dla kłamstwa w żadnych okolicznościach[9]. Kto bowiem kłamie, ten siebie łamie. Czy tak to odczuwamy? Czy w wierności prawdzie rzeczywiście upatrujemy - my, Polacy - fundament naszej prawości? Są powody, by w to wątpić, i by z tym zwątpieniem łączyć poważny niepokój o ethos naszego społeczeństwa.

2. Dwuznaczna wymowa przewrotu "Solidarności".

Dla przybysza z zewnątrz hasło, jakie pojawiło się na ulicach naszych miast przed pamiętnymi wyborami 4 czerwca 1989 roku, mogło wydawać się nieco dziwne. Pisano bowiem "Żeby POLSKA była POLSKĄ, 2 + 2 musi być zawsze cztery". Myśmy jednak dobrze to hasło rozumieli. Dość powszechnie znana była anegdotka o Malinowskim, który na pytanie: "Ile jest 2 + 2?" odpowiedział: "A ile Pan Kierownik sobie życzy?". Anegdota znana, tylko jakby przestała śmieszyć. Wszyscy mieliśmy dosyć życia w notorycznym zakłamaniu: głosowania na tych, których nie chcieliśmy widzieć u władzy; przynależności do Partii i do Kościoła równocześnie; ćwiczenia inteligencji w wyłapywaniu rzeczywistego sensu oficjalnych enuncjacji. Stopniowo zaczynaliśmy się wstydzić tego, co wcześniej przez niektórych traktowane było jako

[8] K. Brandys, *Rynek*, Warszawa 1972, s. 60.

[9] Por. S. th. II-II q. 88 a. 6 ad 3.

tytuł do chluby: że Polak jest jak rzodkiewka, z wierzchu czerwony, w środku biały. Rzodkiewka im starsza, tym bardziej czerwienieje do środka i zaczynaliśmy sobie to coraz wyraźniej uświadamiać. Dwadzieścia lat temu zasłużony rozgłos zdobył artykuł Leszka Kołakowskiego "Sprawa polska", wzywający do życia w godności, którego istotnym elementem było przeciwstawianie się sowietyzacji. Ta zaś polega nie - jak rusyfikacja - na wdrażaniu rosyjskiej kultury w miejsce polskiej, lecz na niszczeniu wszelkiej kultury przez życie w zakłamaniu: przez akceptację tego, że co innego oficjalnie się głosi, a co innego prywatnie się myśli. Kołakowski nawoływał do życia w prawdzie, w czym upatrywał niezbędny warunek przetrwania naszej kultury[10].

Ten proces odkłamywania dał o sobie szczególnie wyraźnie znać w powstaniu "Solidarności". Był to związek niezależny - i pierwszym znakiem tej niezależności było to właśnie, że się tam mówiło prawdę, jawnie i dosłownie. Przypomnijmy też sobie, z jaką pasją odkłamywano historię, zwłaszcza najnowszą. Znaczenia tego procesu nie należy redukować tylko do płaszczyzny politycznej, choć znalazł on - co zrozumiałe - wyraz także w tym wymiarze życia społecznego: w ukonstytuowaniu się KOR-u, w literaturze publikowanej poza cenzurą (w której autorzy podpisywali się już swoim nazwiskiem, a nie pseudonimem) - i tak dalej. Dokonywało się ozdrowieńcze - jak sądziliśmy - oczyszczenie naszego myślenia i działania; oczyszczenie z notorycznego i cynicznego życia w kłamstwie.

Jeszcze dwa doświadczenia podniosły rangę prawdy i pozwoliły wyraźniej dostrzec jej związek z godnością człowieka. Pierwszym była pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny w czerwcu 1979 roku. Tłumy ludzi w Warszawie, Krakowie i Częstochowie, z mieszaniną niedowierzania i uniesienia, wspólnie się modliły, cieszyły i słuchały słów prawdy. Nie oglądaliśmy się na władzę, która gdzieś się pochowała, nagle mała i nieważna, ale przeżywaliśmy niezwykłą wspólnotę i niezwykły smak życia w prawdzie. Było to zaledwie kilka dni, ale pozostały one głęboko w pamięci narodu. Drugie - to bolesne doświadczenie z lat osiemdziesiątych. Mam na myśli wspomniany dramat więźniów politycznych, wypuszczanych na wolność za cenę kłamliwego podpisu. Dramat ten pokazał per opposita, czym dla człowieka jest prawda i wierność prawdzie; jak złudna jest wolność jej kosztem uzyskana.

Co się jednak stało - i nadal dzieje - gdyśmy naszą walkę o godne człowieka życie w prawdzie, wygrali? Okazało się, że szukaliśmy prawdy wtedy,

---

[10] L. Kołakowski, *Sprawa polska*, w: *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Londyn 1982, s. 300-308.

gdyśmy byli okłamywani z zewnątrz: gdy kłamała obca nam i odczuwana jako narzucona z góry władza. Dziś jednak, kiedy nikt nas do kłamstw nie zmusza, kłamiemy często, łatwo i bez żenady. Zauważmy, że charakteryzując zmagania o prawdę okresu sprzed 1989 roku, nie wspominaliśmy w ogóle o uczciwości; tej zwykłej, wyrażającej się rzetelnością pracy, słownością w dotrzymywaniu umów, prawdomównością w prywatnych, nie zaś tylko wysoce politycznych, rozmowach. Zaabsorbowani walką z komunistycznym totalitaryzmem nie zwracaliśmy zbytnio uwagi na to, jak głęboko w narodzie naszym zapuściło korzenie codzienne, notorycznie praktykowane i społecznie aprobowane oszustwo. Pamiętamy, jak zdumiewali się zachodni obcokrajowcy, gdy dowiadywali się, że przeciętny Polak więcej wydaje, niż zarabia - i tej formy zakłamania do dziś się zbytnio nie wstydzimy. Za czasów komunizmu dokradanie traktowaliśmy jako należne nam z tytułu sprawiedliwości "wyrównanie" - i oto dziś, gdy jesteśmy "na swoim", okradamy wzajem siebie jawnie, bez skrupułów i z pomysłowością, na którą gdzie indziej nas nie stać. Starsza pani, która wychodząc z autobusu wręczyła mi swój skasowany bilet, uważała najwyraźniej swój czyn za tytuł do chwały, a nie za akt kradzieży, którego powinna się wstydzić. Słyszałem o księdzu, który - jako dobry duszpasterz, zatroskany o swych wiernych - tłumaczył z ambony, jak ominąć nowe przepisy podatkowe (nb. niekiedy tak wysokie, jakby ich autorzy z góry liczyli się z oszustwem obywateli). Już w szkole podstawowej z "koleżeństwem" kojarzy się głównie podpowiadanie i "ściąganie" zadań lekcyjnych. Nauczyciele, jeśli na to reagują, to raczej w konwencji swoistej gry (kto kogo przechytrzy), nie zaś na płaszczyźnie moralnej prawości.

Nie są to drobiazgi, także z punktu widzenia powodzenia zamierzonych reform ekonomicznych. Tak, jak złe pijackie obyczaje czynią mało skuteczną walkę z alkoholizmem, tak też społeczna aprobata nieuczciwości, bezsensowne odróżnianie kradzieży prywatnej od publicznej, lekceważenie wszelkich przepisów - wszystko to są rafy, o które rozbija się niejedna, słuszna skądinąd i szlachetna, reformatorska inicjatywa. Trzeba oczywiście tworzyć taką sytuację prawno-ekonomiczną, by opłaciło się być uczciwym, jest to jednak proces długi i musi mu towarzyszyć wysiłek odbudowy etosu pracy, zniszczony gruntownie w okresie panowania komunizmu.

Chcę być dobrze zrozumiany: nie uważam, że dorobek zmagań, których symbolem stał się NSZZ "Solidarność", został bez reszty zmarnowany. Tym bardziej nie pomawiam o cynizm tych, którzy walczyli o życie w prawdzie; przeciwnie, pełen jestem uznania i podziwu dla ich iście heroicznych wysiłków. Sądzę raczej, że w narodzie naszym - i w sumieniach poszczególnych

Polaków - toczy się bój, którego wyniku jeszcze nie znamy. Zwycięstwo nad wrogiem zewnętrznym było trudne, zostało okupione niemałą ceną, ale okazało się łatwiejsze od zmagań o własną, osobistą prawość, której fundamentem i sprawdzianem jest respekt dla prawdy.

3. Prawość sumienia kapłanów a obłuda.

Wrażliwość sumienia księży to wrażliwość tych, którzy zostali wybrani bez żadnych swoich zasług do głoszenia Dobrej Nowiny o Jezusie Chrystusie, a On sam o Sobie powiedział, że jest Prawdą. Jeśli więc prawość sumienia każdego człowieka - a ostatecznie moralna jakość jego życia - mierzy się jego stosunkiem do prawdy, to w przypadku tych, którym Pan powierzył Siebie jako Prawdę - zbawczą, ale trudną, pociągającą, ale także pobudzającą do sprzeciwu - w prawości ich sumienia rozstrzyga się sens ich kapłaństwa; sens i wartość naszego kapłaństwa. Cóż się dziwić Szymonowi Piotrowi wołającemu "Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny" (Łk 5,8)?

Jednocześnie każdy z nas jest dzieckiem swego czasu. "Z ludzi brany", przeżywa ich dramaty i podlega tym samym co oni słabościom. Dlatego tyle było mowy o dwuznacznej roli przełomu końca lat osiemdziesiątych, wszyscy bowiem w tym przełomie, bardziej lub mniej aktywnie, uczestniczymy. Niedawny czas zmagań z komunizmem, ów proces odkłamania życia społecznego, kształtował naszą osobowość - aż po dzisiejszych kleryków. Ci, którzy dziś są diakonami, wstępowali przecież do seminarium przed 1989 rokiem. Wywodzą się zwykle z rodzin katolickich, które raczej nie sympatyzowały z PRL-owską ideologią i władzą. Dla wielu kapłanów, zwłaszcza młodych, ks. Jerzy Popiełuszko stał się niekanonizowanym świętym - właśnie z powodu odważnego mówienia prawdy, za którą poniósł męczeńską śmierć.

Duchowieństwo w całym tym procesie napięć i przemian aktywnie uczestniczyło i nadal uczestniczy. Jest to raczej tytuł do chwały, nawet jeśli naraża nas na błędy i krytykę. Nie chodzi o uprawianie działalności politycznej sensu stricto; podejmując ją, kapłan redukuje - świadom tego lub (częściej) nie - do poziomu partyjnych rozgrywek Chrystusową Ewangelię, która przewyższa zawartym w niej przesłaniem i mocą wszelkie strategie i ustroje polityczne. Ale dystans wobec poszczególnych programów i stronnictw politycznych nie może oznaczać odsunięcia się od nadziei i trosk człowieka, któremu duszpasterz ma służyć. Raczej więc chlubić się możemy tym, że w trudnym półwieczu PRL duchowieństwo pozostało - globalnie biorąc - wierne Chrystusowi obecnemu w Kościele, wspomagając jednocześnie na różne sposoby tych, których komunistyczne władze prześladowały. Wiemy, ile to

przysporzyło nam popularności - choć wiemy już też, jak ta popularność okazała się nietrwała. Od razu więc dodajmy (później do tej sprawy trzeba będzie wrócić), że na chwałę Kościoła i duchowieństwa w Polsce zapisać też trzeba to, iż pozostało wierne Kościołowi i Ewangelii także wtedy, gdy jej wymogi okazały się niewygodne dla społeczeństwa, rzekomo w przytłaczającej większości, katolickiemu. Kościół zawsze dopominał się o poszanowanie każdego ludzkiego życia, przypominał o społecznych (nie: państwowych) funkcjach szkoły, w której winna znaleźć należne miejsce także religia, bronił jako najgłębiej ludzkich, tak zwanych wartości chrześcijańskich - żeby wymienić tylko nieliczne kwestie, które stały się okazją do ostrej krytyki Kościoła i duchowieństwa polskiego w ostatnich pięciu latach. Nie chciałbym żyć w Kościele, który swoją doktrynę uzależnia od rachunku politycznych zysków i strat. Trzeba raczej prosić Pana Boga, byśmy i dziś nie odstąpili od głoszenia "z całą cierpliwością" nauki odbieranej jako "głoszonej nie w porę" przez tych, wcale licznych, którzy "odwracają się od słuchania prawdy, a obracają się ku zmyślonym opowiadaniom" (por. 2 Tm 4,2-4).

Ale nosimy też w sobie znamiona zakłamań, które przemiany końca lat osiemdziesiątych raczej obnażyły, niż usunęły. Co więcej, znamiona te w pewnym sensie zostały spotęgowane przez specyfikę stanu duchownego, a także szczególny sposób odnoszenia się do nas przez tak zwanych szarych obywateli. Proponuję zatrzymać uwagę na jednym problemie, który wydaje mi się dla zagadnienia prawości sumienia kapłanów centralny, a który - choć uniwersalnie ważny - nabiera specjalnego znaczenia w kontekście najnowszych dziejów Polski. Chodzi mi mianowicie o grzech obłudy.

W zapisanej u św. Mateusza mowie (Mt 23) Pan Jezus, rzucając faryzeuszom i uczonym w Piśmie w twarz siedmiokrotnie ciężkie "biada", dodaje niemal za każdym razem rację, która owo "biada" usprawiedliwia i wzmacnia: "Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy!" Właśnie obłuda: zakłamanie, którego oni sami nie są już świadomi, jest ich przewiną najcięższą i najbardziej zgubną, bo zamyka im drogę do nawrócenia. Mocne słowa Zbawiciela zawierają nie tylko oskarżenie pod ich adresem, ale są też dla nich ostatnią, być może, szansą ratunku.

Nam, księżom, grozi ta sama obłuda, połączona z pychą, ponieważ pełnimy funkcję zbliżoną do tej, która w czasach Chrystusa przypadła w udziale uczonym w Piśmie i faryzeuszom. Cieszymy się podobnym, religijnie zabarwionym autorytetem. A po wojnie, zwłaszcza począwszy od lat siedemdziesiątych, wiele okoliczności obłudzie naszej i zarozumiałości szczególnie sprzyjało. Byliśmy oficjalnymi przedstawicielami jedynej siły w kraju, która

oparła się ateistycznej ideologii i komunistycznej przemocy. Wiarę katolicką wyznawała - przynajmniej oficjalnie - ogromna większość Polaków. Kościoły na wszystkich niedzielnych Mszach świętych były pełne, wierni odnosili się do nas na ogół z szacunkiem (zachowując uwagi krytyczne do prywatnych rozmów, bez udziału duchownych). Oddanie Kościołowi i sympatia dla duchowieństwa przejawiała się też w ofiarności wiernych, dzięki której nie tylko powstało - pomimo niechęci, a nierzadko i szykan ze strony władz państwowych - wiele imponujących świątyń, ale i sami księża mieli się względnie dobrze - poziomem życia zdecydowanie przewyższali tak zwaną średnią krajową. Z różnych powodów z życzliwym zainteresowaniem i szacunkiem odnosiło się do Kościoła i do duchowieństwa wiele osobistości ze sfer politycznych i kulturalnych, dyplomatycznie unikając tych poglądów i zwyczajów, które ich w katolicyzmie drażniły, w imię wspólnej walki z komunizmem. Trudno doprawdy o groźniejszy dla zachowania pokory i prawości układ okoliczności i zdarzeń; układ, którym się zresztą zbytnio nie trapiliśmy...

Nieobca zatem stała się dla wielu z nas tępa pewność siebie - bufona, który głosi prawdę Bożą tak, jakby ją bez reszty pojął, wszystkie tajemnice zgłębił i potrafi bez wahań i błędów formułować moralne nakazy oraz ferować wyroki, często nader surowe. Nie odczuwa już dystansu, bolesnego i - w najlepszym sensie tego słowa - upokarzającego, jaki go od prawdy Ewangelii dzieli. Mówi o Panu Bogu i Jego sprawiedliwości tak, jakby sobie w tym względzie nic szczególnego do wyrzucenia nie miał. Nie podkreśla wprawdzie wprost swej doskonałości (byłaby to zbyt jawna pycha), ale zdradza go poczucie wyższości, z jakim przepowiada, formułuje moralne wymogi, rozstrzyga wątpliwości innych. Faryzejską wymowę jego pewności siebie i zarozumiałości widzą wszyscy, z wyjątkiem niego samego.

Czy jest to obraz przesadzony? Warto posłuchać, co o nas, księżach mówi się od lat w środowiskach świeckich, a co dziś się pisze lub obrazuje w satyrycznych audycjach i programach telewizyjnych. Oburzamy się i protestujemy, przytaczamy wiele danych świadczących o pokorze i dobroci księży. Czujemy się głęboko zranieni falą antyklerykalizmu, jaka w nas z różnych stron uderza. Rzeczywiście, antyklerykalizm, jak każda postawa „anty-" nacechowany jest uprzedzeniami i nie można na nim niczego dobrego zbudować. Czy jednak nie należy w nim dostrzec lekarstwa - gorzkiego, to prawda - - jakie nam dobry Bóg zsyła, byśmy nie zginęli; współczesnego "biada", którym Mistrz chce wstrząsnąć naszymi sumieniami?

Uważamy, że ataki na duchowieństwo są istotnym elementem nowej walki

z Kościołem, nowej ateizacji. Rzeczywiście, istnieje związek pomiędzy wiarą w Boga a sposobem odnoszenia się do Jego "urzędowych przedstawicieli". Na tym związku opiera się przecież szacunek okazywany nam wciąż przez tylu wiernych. Ale czy to oznacza, że powinniśmy dążyć nade wszystko do obrony naszego dobrego imienia? Czy nie dopuszczamy się przemilczeń lub przeinaczeń - u innych surowo piętnowanych - byle tylko nie przyznać się do swych błędów i grzechów? Bardzo trudno nam taka skrucha przychodzi. Na każdy zarzut - nawet podnoszony spokojnie i w duchu życzliwości wobec nas - reagujemy alergicznie. Nie chodzi mi o to, że powinniśmy ostentacyjnie manifestować swą pokutę. Ale skoro prawość sumienia wymaga otwartości na prawdę, to w imię tej otwartości nie należy zbyt pochopnie, z oburzeniem i pogardą odtrącać krzywe zwierciadło, jakie nam przed oczy stawiają nawet nieprzychylne Kościołowi mass media i środowiska. Spróbujmy raczej przejrzeć się w nim i uczciwie się zastanowić, ile w tych karykaturach jest jednak prawdy. Inaczej będziemy brnęli coraz głębiej w fałsz.

Zresztą obłuda rodzi się w nas i dojrzewa także w inny sposób, poniekąd właśnie na drodze "pokory". Któż z nas nie przeżył bolesnego kontrastu pomiędzy głębią i mocą Ewangelii a własną miernotą i pustką? Kto nie zna pokusy ucieczki od tego obnażającej naszą nędzę kontrastu, która popycha nas do tego, byśmy - zamiast przepowiadać Chrystusa - opowiadali o innych sprawach, czasami nawet dość ciekawych, wiążących się z polityką, psychologią, kulturą, modą - Bóg wie czym jeszcze, tylko nie wprost z Ewangelią. W przepowiadanie - ale stopniowo także w sumienie - kapłana zaczyna wkradać się rozziew pomiędzy tym, do czego został powołany (i do czego się, ufając łasce Bożej, publicznie zobowiązał), a tym, o czym faktycznie mówi i czym się faktycznie interesuje.

Przedłużeniem takiej wewnętrznej ucieczki - zazwyczaj dokonywanej stopniowo i niejawnie - bywa typ księdza-zawodowca, który dość szybko "opanowuje" niewielki zestaw tematów kazań, przykładów, morałów itp. Korzysta z nich stale i mechanicznie w swej pracy duszpasterskiej, sam jednak nimi nie żyje, co widać po martwocie jego słów. Sam się nimi nuży (cóż dopiero mówić o wiernych?), ponieważ sercem swym jest od nich daleko i ucieka w swój świat, gdy tylko zawodowe obowiązki wypełni. Jak łatwo tą drogą wyjść zupełnie z kapłaństwa, to Czcigodni Ojcowie wiedzą doskonale. I wiedzą też zapewne, jak głęboki dramat rozgrywa się w sumieniu przeżywających takie rozterki księży. Powołanie kapłańskie i związane z nim funkcje duszpasterskie zbyt silnie angażują człowieka, by można było na dłuższą metę wytrzymać pogłębiającą się przepaść pomiędzy tym, co się mówi, a tym,

czym się żyje. Takie przypadki budzą raczej żal, niż złośliwą krytykę, pokazują bowiem, do jakiej ruiny prowadzi odejście od wewnętrznej uczciwości. Nieprawość zaczyna się w ukryciu, w "sam na sam" z Bogiem.

Otwarcie na prawdę dotyczy nie tylko trudnych niekiedy do przyjęcia prawd o nas samych, ale także prawdy o innych, zwłaszcza o ich niedolach. Cytowany (w punkcie 1.) fragment książki "Rynek" odnosi się do rozmowy Autora z Niemką, która - gdy mowa była o koszmarnym i metodycznie realizowanym hitlerowskim planie zagłady całego narodu żydowskiego - odpowiedziała tonem usprawiedliwienia: "Wir haben nichts gewusst": Nic nie wiedzieliśmy. Brandys pyta: "Ale co to znaczy wiedzieć? Wiem, kiedy mnie wyrywają paznokcie, lecz gdy wyrywa się paznokcie drugim, czy ja naprawdę o tym wiem? Od kiedy, od jak dawna podejrzewam, że to "wiem" i "nie wiem" należałoby zastąpić czym innym? może dokładniej: "chcę wiedzieć" i "nie chcę wiedzieć"? albo "umiem wiedzieć" i "nie umiem wiedzieć"?[11]

Czy my, księża, chcemy i umiemy wiedzieć o tym, jak się żyje naszym wiernym? Wróćmy znów na chwilę do dyskusji wokół ochrony dziecka poczętego, religii w szkole, wartości chrześcijańskich, wokół konkordatu. Co wpłynęło na szczególnie zaogniony charakter tych dyskusji? Zapewne jednym z czynników jest przenikające całe nasze życie społeczne napięcie i agresja: kłócimy się stale, o wiele spraw - a poziom naszych dyskusji parlamentarnych i prasowych bywa przygnębiający. Ujawniła się też krytyka Kościoła ze strony tych, którzy dawniej czuli się z nim związani raczej z motywów taktyczno-politycznych, niż na płaszczyźnie wiary. Ale to nie tłumaczy wszystkiego. Mam wrażenie, że u podłoża zniecierpliwienia, a nawet gniewu, jakim reagowano niekiedy na stanowisko Kościoła we wspomnianych kwestiach, leżało poczucie, że Kościół - w tym przypadku: przede wszystkim duszpasterze - nie stanął dostatecznie wyraźnie i skutecznie w obronie nagle i dramatycznie zubożałych wielu swoich wiernych; że zabiera tak stanowczo głos w sprawach postrzeganych jako polityczne, a zaniedbał tych, którzy stali się ofiarami brutalnie wkraczającego do nas kapitalizmu.

Nie chcę być niesprawiedliwy. Sam na parafii nie pracuję i nie mogę pochwalić się żadnym dziełem na rzecz ubogich. Wiem też, że wielu duszpasterzy służy z oddaniem ubogim i chorym, także na AIDS. W ubiegłym roku mowa była o tym w czasie sierpniowych Dni Duszpasterskich na KUL-u. Okazało się, jak wiele się po parafiach dobrego czyni, tyle że dzieła te nie zyskują takiego nagłośnienia w środkach masowego przekazu, jak na to za-

[11] K. Brandys, *Rynek*, s. 60.

sługują. A jednak mam wrażenie, że można było uczynić więcej - i że wierni wprost lub podświadomie tego oczekiwali. Kartoteki parafialne, regularne wizyty duszpasterskie, autorytet moralny, jakim się Kościół cieszy - wszystko to dawało potężne możliwości zaradzenia potrzebom najbiedniejszych, budzenia inicjatywy u świeckich katolików, a wreszcie bardziej stanowczego zabierania głosu w obronie tych, których nowe ustawodawstwo lub stare praktyki najdotkliwiej krzywdzą. Sądzę, że za mało okazaliśmy wrażliwości na zwykłą ludzką biedę. Owszem, z tych samych względów nie wolno było zaniechać starań o ochronę, także prawną, najmniejszych i bezbronnych, nie narodzonych dzieci. I dziś nie wolno. Miejmy nadzieję, że powstrzymywanie się przez oficjalne czynniki Kościoła od zabierania głosu w tej sprawie jest chwilowe i nie ma charakteru koniunkturalnego. Ale staraniom tym towarzyszyć musi rzetelna i wytrwała troska o borykających się z bezrobociem i innymi niedostatkami wiernych, których w naszych parafiach nie brak. Inaczej powiedzą nam: "Bogaty nigdy nie zrozumie biednego".

Chyba zresztą poziom życia duchowieństwa relatywnie się obniża; jego kondycja finansowa zależy przecież od ofiarności wiernych, a ci ostatnio bardzo zubożeli. Czy i w tym nie należy upatrywać zrządzenia dobrego Boga? Może przyjdzie jeszcze czas lepszej dla nas koniunktury, zarówno ideologicznej, jak i ekonomicznej, ale nie powinniśmy zapominać dzisiejszej próby przywołania nas do ewangelicznej prostoty życia, do uczciwego otwarcia oczu: na nas samych i na los innych. Tylko tędy wiedzie droga do odzyskania lub umocnienia prawego sumienia.

* * *

Myśli i niepokoje powyższe dopełnić muszę koniecznie następującym komentarzem: obraz, który powyżej odmalowałem, z całą pewnością nie charakteryzuje obiektywnie i sprawiedliwie tak zwanego typowego (jeśli taki jest) polskiego kapłana. Dałoby się więcej jeszcze dobrych i ciepłych słów powiedzieć o pracowitej ofiarności naszych księży, o głębi ich życia modlitwą, o mądrej pomocy, z jaką spieszą potrzebującym, o życzliwej otwartości wobec wiernych - a nierzadko także wobec niewierzących.

Blask tych cnót i zalet jest, być może, jaśniejszy niż mrok wad i ułomności, o których mówiłem wcześniej. Ale ja nie zamierzałem wystawiać komukolwiek cenzurki, dobrej ani złej. Zamierzałem wskazać na jeden z korzeni naszej prawości lub nieprawości. Jeśli nacisk położyłem na tę ostatnią, to dlatego, że owa właśnie, nieprawość, jest przedmiotem naszej troski. A są powody, by - przy całym uznaniu dla życia i pracy wielu polskich kapłanów - - troskę tę żywić i środków zaradczych na nasze choroby szukać.